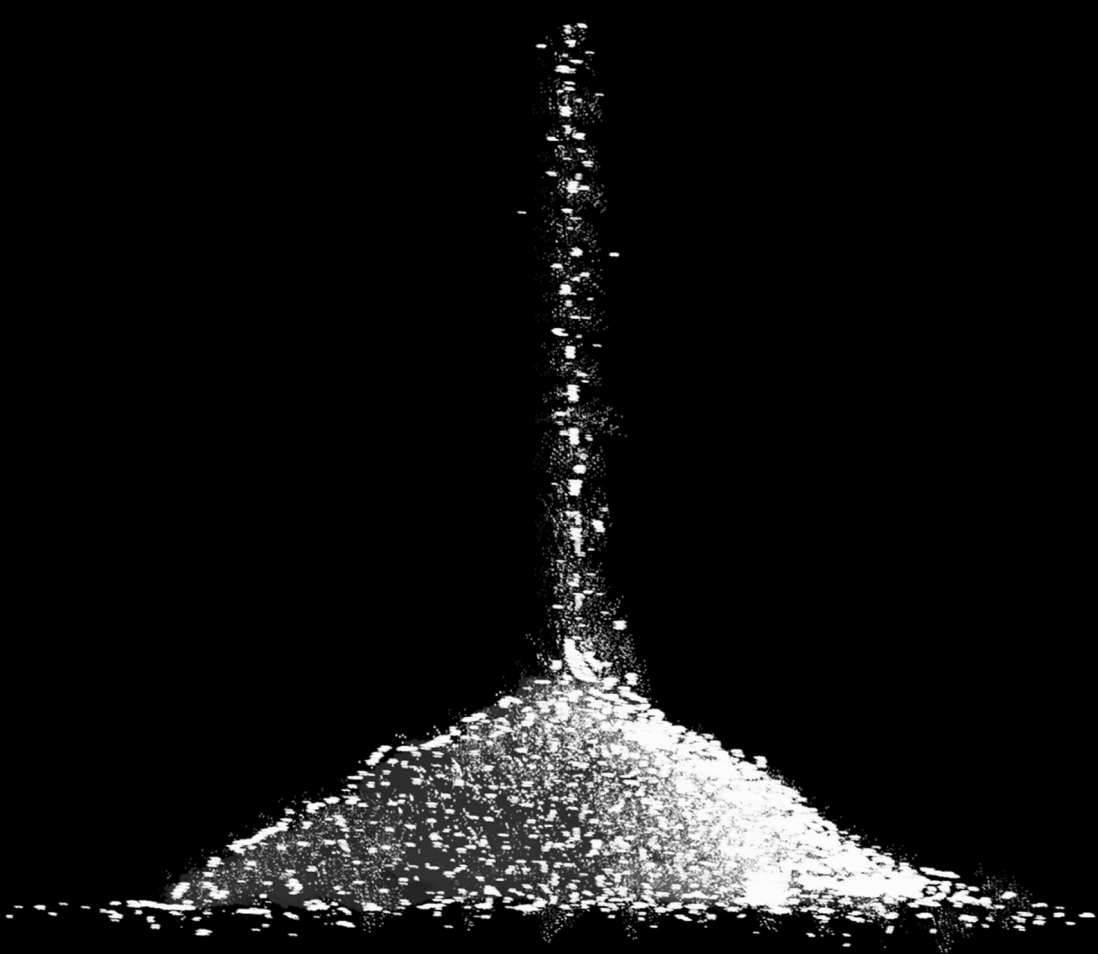


WOJCIECH GAŁAJ

# KRYSZTAŁY



Wojciech Gałaj

Kryształy

Wydawnictwo Agrafka 2024



ISBN 978-83-66915-81-7



## Spis treści

|  |     |
|--|-----|
| Szpital . . . . .                              | 5   |
| Adaś . . . . .                                 | 12  |
| Amerykański sen. . . . .                       | 14  |
| Lotnisko . . . . .                             | 21  |
| Przywitanie. . . . .                           | 27  |
| Czysty jak łąka . . . . .                      | 35  |
| Wizualna stymulacja męskiej wyobraźni. . . . . | 41  |
| Trójkąt . . . . .                              | 48  |
| Ostatnie dni wakacji . . . . .                 | 66  |
| Tijuana trip. . . . .                          | 72  |
| Kryształ . . . . .                             | 82  |
| Granica. . . . .                               | 89  |
| Nie gadaj tyle . . . . .                       | 96  |
| Senny koszmar . . . . .                        | 111 |
| Jorje i zupa pomidorowa. . . . .               | 117 |
| Lisiecy . . . . .                              | 119 |
| Tomasz opuszcza rodzinę . . . . .              | 124 |
| Gościnność Very.. . . . .                      | 133 |
| Wyrok . . . . .                                | 137 |
| Areszt . . . . .                               | 141 |
| Luna el rojo . . . . .                         | 155 |
| Przywitanie z Cancún . . . . .                 | 164 |
| Lili . . . . .                                 | 178 |
| Pływający Holender . . . . .                   | 194 |
| Czerwone światło . . . . .                     | 201 |

|  |     |
|--|-----|
| Marina . . . . .                         | 212 |
| Miłość, miłość i po miłości . . . . .    | 218 |
| Nóż do chleba, śmierć i zdrada . . . . . | 228 |
| Powrót . . . . .                         | 234 |
| Raz, dwa, trzy . . . . .                 | 237 |

## ROZDZIAŁ 1

# SZPITAL

Telefon na biurku detektywa Marka Konarskiego, dzwonił z małymi przerwami od dobrych dwudziestu minut. Właściciel wspomnianego telefonu, oczywiście nie mógł odebrać połączenia, ponieważ od przeszło pół godziny przebywał w toalecie Komisariatu Miejskiego w Łodzi i wcale się nie śpieszył, aby wracać do pracy. W końcu wyszedł. Niewysoki, chuderlawy mężczyzna koło czterdziestki. Lekko spocony na twarzy, otrząsnął dłonie z wody.

— Jezu, Marek. Ile Ty możesz srać? – Skomentował kolega siedzący przy biurku obok. – Twój telefon napierdala w kółko. Już mnie głowa od tego boli.

— Spokojnie Chudy – uspokoił go Konarski, udając, że klepie kolegę po plecach, a w rzeczywistości, wycierając w niego ręce z resztek wody. – Inaczej, żyłka pęknie ci w dupie z tych nerwów. Oddychaj głęboko i rozkoszuj się tym pięknym dniem. – Parsknął z szyderczym uśmiechem, odwracając głowę w stronę uchylonych drzwi toalety.

— Ja pierdole! – Chudy, westchnął głęboko.

Wyjął pospiesznie ze swojej torby aktualne wydanie gazetki z promocjami jednego z dyskontów. Następnie, krzywiąc się z niesmakiem, zaczął nerwowo wymachiwać nią tak, jakby chciał odgonić natrętną muchę.

— Co trzeba jeść, żeby tak potem jebało? – Rzucił w powietrze poirytowany.

Chciał dodać coś jeszcze, ale telefon na biurku znów zadzwonił.

— Halo! – Detektyw niemal wrzasnął do słuchawki. – Konarski przy telefonie, co jest? Znaczy słucham.

Jego głos brzmiał, jakby wydobywał się z zardzewiałej rury kanalizacyjnej, a nie gardła żywego człowieka. Od razu, ma się ochotę odłożyć słuchawkę, po samym tylko usłyszeniu „dzień dobry”.

— Witam Panie Marku, z tej strony Tomasz Jeżyk. Miałem dzwonić, jeżeli coś się zmieni.

Jeżyk z kolei miał głos, jakby bał się własnego cienia. No może cienia to bez przesady, ale Konarskiego na pewno.

— Zmieni?! Co zmieni?! W sensie, że się obudził, czy nie?! Konkretnie człowieku! – Parsknął, zdenerwowany Konarski.

— Tak, obudził się. Rozmawiałem z nim. Za ile może Pan u mnie być? – Głos po drugiej stronie słuchawki, był wyraźnie podekscytowany całą sytuacją.

— Za ile? No ruszamy! Będziemy za... – Konarski, machnął ręką na Chudego, żeby ten się zbierał do wyjścia. – No wyjeżdżamy. Proszę na nas czekać, panie Jeżyk. – Warknął w swoim wrednym stylu i rzucił słuchawką tak, że ta spadła z widełek telefonu i teraz leżała obok, wydając cichy jednostajny dźwięk. Konarski spojrzał w stronę Chudego.

— Zbieraj dupę – pogonił go. – Gość się obudził i chyba mamy przełom!

— A właściwie, to czemu nie kupisz sobie prawdziwego telefonu? – Spytał Chudy, jakby nie słyszał słów kolegi. – No wiesz, normalnej komórki. Zawsze, jak chodzisz do kibla na te swoje posiedzenia, to ten stary grat, brzęczy mi nad uchem. Byś sobie ją zabierał ze sobą. Pograł w gry czy coś. A ja bym miał spokój.

— W gry? – Konarski spojrzał zdziwiony. – Jakie kurwa gry? Chudy, odkleiło ci się coś? Mówiłem. Zbieraj się, musimy jechać.

— No, ale jak tak zostawisz nieodłożoną słuchawkę na ten przykład, to nikt się nie dodzwoni. – Odpowiedział spokojnie Chudy, pakując gazetkę z powrotem do torby. Spojrzał w stronę biurka Konarskiego, na którym słuchawka nadal wydawała cichy, nieprzyjemny dźwięk. – Z komórką nie ma tego problemu. Z resztą wszyscy teraz mają komórki. – Wzruszył ramionami.

— W piździe mam, że nikt się nie dodzwoni i jeszcze głębiej, że wszyscy mają komórki! No Chudy! Kurwa, nie męcz mnie, okej?! – Konarski wrzasnęła na kolegę, wkładając kwadratowego cukierka do ust. Papierek zwinął jedną ręką w kulkę i idąc w kierunku wyjścia, rzucił nim w stronę kosza. Nie trafił. Chudy z zażenowaniem pokręcił głową. Kopnął papierek bliżej kosza i wyszedł za Konarskim z biura.

\*\*\*

Chudy, rzecz jasna, tak naprawdę nie były chudy. W sumie, to od zawsze miał nadwagę. Istotnie sporą. Bo, jak ktoś waży sto siedemdziesiąt kilogramów, to nawet przy dwóch metrach wzrostu (tak jak w przypadku Chudego), będzie się kwalifikował do leczenia otyłości. Jednakże nie to było dziwne. Świat, jest pełen grubych ludzi. Zdziwiające było to, iż pomimo że Chudy, wyglądał, jak żywa maskotka firmy Michelin, nigdy nie przeszkadzało mu to w ćwiczeniach fizycznych. Nawet, jak jechał na egzaminy wstępne do Szczytna, to był taki, jaki był, a miał jeden z najlepszych wyników testów sprawnościowych. Biegał szybko i miał wytrzymałość maratończyka. Przeskakiwał przez ścianki na placu ćwiczeń z godną podziwu zwinnością, a podczas zajęć z walki wręcz, nikt nie chciał być z nim w parze. Wszyscy w akademii wiedzieli, że bić się z Chudym, to pewny wpierdol. Facet, miał siłę, jak André The Giant i nawet z wyglądu był do niego podobny. Dlatego wszyscy się go bali. Wszyscy z wyjątkiem Konarskiego. I tak właśnie zaczęła się ich przyjaźń – w szkole policyjnej

i trwa do dziś. Partnerami są od ponad dwunastu lat. Ksywy, Chudy dorobił się jeszcze w podstawówce. Od nazwiska Chudziński. Witek Chudziński. A teraz śledczy Witold Chudziński wspólnie ze swoim partnerem, stał o krok od rozwiązania najbardziej krwawej sprawy w swojej karierze.

\*\*\*

Doktor Jeżyk i Adam, siedzieli przy niedużym, metalowym stole. Dopiero po chwili Adam zauważył, że mebel przykręcony jest do podłogi grubymi śrubami. Przyglądał im się przez chwilę. W końcu ostrożnie złapał za blat obiema rękami i zaczął delikatnie szarpać. Ani drgnął. Spróbował mocniej, ale stół nie ruszył się nawet o milimetr.

— Adaś, zostaw to! – powiedział doktor Jeżyk, zdecydowanym, lekko podniesionym tonem. Widać było, że jest podenerwowany. – Zaraz będzie tu inspektor Konarski. Opowiesz mu wszystko, jak się umawialiśmy, tak? – Patrzył na Adama, ale ten nie zwracał na niego uwagi.

Teraz spoglądał w stronę okna. Wpadające przez nie promienie zachodzącego słońca, podświetlały drobinki kurzu, które unosiły się po sali. Nieprzyjemny zapach brudu, wyczuwalny był również w powietrzu.

— Ale tu syf. – Zastanowił się, czując, jak podeszwa jego tenisówek klei się do podłogi.

Była osiemnasta dwadzieścia we wtorek. O tej porze, zazwyczaj nikogo już tutaj nie było. Obaj zastanawiali się, ile będą musieli jeszcze czekać.

Ciszę przerwał odgłos kłótni, dobywający się z głębi korytarza. Z każdym pokonanym metrem był coraz głośniejszy. To Chudy, kłócił się z Konarskim.

— Czego tak pędzisz?! Przecież nigdzie nie uciekniesz. – Hamował kolegę Chudy.

Detektyw jednak nie zwalniał. Prawie biegł. Wpadł do pustej sali odwiedzin. Adam oraz doktor Jeżyk, przestraszeni hałasem otwieranych z łoskotem drzwi, gwałtownie poderwali się do góry. Konarski, niemal je wywa-



żając, podszedł do stołu już nieco wolniejszym krokiem. Uścisnął dłoń doktora, po czym odwrócił się w stronę Adama. Spojrzał mu prosto w twarz, jakby chciał wy badać o czym chłopak teraz myśli. Jednak nie odezwał się choćby jednym słowem. Nie trwało to długo, może dwadzieścia sekund, ale tyle wystarczyło, żeby Adam zrozumiał, że ma kłopoty.

— Może usiądziemy? – Zaproponował Chudy.

Konarski nawet nie zauważył, że jego partner, dołączył do nich już chwilę temu i teraz stali we czterech w pustej sali. Milczeli. Doktor Jeżyk, usiadł niemal natychmiast niczym tresowany pies, któremu wydano komendę. Adam zrobił to samo. Witek, ociężałe osunął się na metalowe krzesło. Przy jego gabarytach wyglądał, jakby siedział na dziecięcym krzeselku. Kolana nie mieściły mu się pod blatem. Krótki moment wiercił się, próbując założyć nogę na nogę. W końcu odpuścił. Spojrzał na Konarskiego. Ten jako jedyny nadal stał. Rozglądał się po obszernym pomieszczeniu, jakby chciał o coś jeszcze spytać, zanim zaczną.

— Tak, do rzeczy. – Burknął w końcu pod nosem, przystawiając dla siebie krzesło. Z wewnętrznej kieszeni wojskowej kurtki, wyciągnął notes oprawiony w czarną skórę. – Długopis, detektywie Chudziński. – Powiedział spokojnym wręcz dyplomatycznym tonem głosu. Widać było gołym okiem, że wiele go taka kurtuazja kosztuje.

Chudy, zaczął przeszukiwać wnętrze swojej torby. Przypominała trochę damską torebkę. Dlatego pogrzebał w niej nieudolnie, po czym dał za wygraną i zaczął wyjmować poszczególne przedmioty. Położył na blacie błękitną paczkę Cameli w miękkiej oprawie, półlitrową butelkę wody i gazetkę z promocjami. Miał wrażenie, że papier, z którego była zrobiona, nadal śmierdzi popołudniowym incydentem z ich ciasnego biura w komisariacie. Na samo wspomnienie, zebrało mu się na mdłości. Konarski też to musiał poczuć, bo przewrócił oczami, jakby chciał powiedzieć: *Schowaj to gównu i dawaj ten jebany długopis.*

— Czy ja mogę dowiedzieć się o co dokładnie chodzi? – Adam skorzystał z momentu, żeby zadać pytanie. – Nie czuję się jeszcze najlepiej... – Próbował kontynuować, ale Konarski mu przerwał.

— Adam Zajączkowski, tak? – Wycedził przez zęby przeglądając notes, jakby chciał wrócić do wcześniejszych notatek. Chudy, wreszcie podał mu długopis. Konarski, nie czekając na odpowiedź kontynuował: – Doktor Jeżyk zawiadomił nas, ponieważ ma pan, panie Zajączkowski, coś do powiedzenia w sprawie... – Lekarz nieoczekiwanie mu przerwał.

— Adaś, opowiedz po prostu historię, która ci się przydarzyła, dobrze? Tę, którą już mi opowiadałeś. Spokojnie i powoli.

Tomasz Jeżyk, spojrzał porozumiewawczo w stronę detektywa. Chciał zarazem uspokoić Adama, który ze stresu trząsł pod stołem nogą tak energicznie, że teraz zaczął obijać kolaniem o spodnią część blatu.

Miał świadomość, że jego pacjent nie jest jeszcze w pełni stabilny i potrzebuje odpoczynku. Obawiał się również, że wskutek stresu wywołanego naciśkami ze strony detektywa, szybko pojawią się rezultaty w postaci regresu w procesie rekonwalescencji, co wiązałoby się z dodatkowymi utrudnieniami. A na pewno odsunęłoby w czasie przesłuchanie Adama Zajączkowskiego. Konarski, widocznie domyślił się o co chodziło doktorowi, ponieważ wyraźnie złagodniał. Wziął głęboki oddech. Przetarł dłonią czoło, jakby chciał zetrzeć z niego pot, pomimo że wcale nie było spocone. Przez kilka sekund patrzył na Chudego i stukając długopisem w notes, odchylił się powoli na krześle w stronę oparcia.

— Dobrze Adaś. – Powiedział już opanowanym, spokojnym głosem. Nie wyglądał teraz, jak funkcjonariusz, który zbiera informacje niezbędne do rozwikłania śledztwa, ale jakby przeprowadzał rozmowę wychowawczą z dzieckiem, które wykazało się w przedszkolu niesfornym zachowaniem. – Czy możesz opowiedzieć mnie i panu detektywowi te niesamowitą historię? – W tym miejscu wskazał dłonią Chudego, który przybrał dobrotliwy wyraz twarzy.

Adam, wyraźnie się uspokoił. Przestał nerwowo machać stopą. Jego oddech stał się równy i regularny. Krótką chwilę przenosił wzrok z jednego policjanta na drugiego.

— Oczywiście – odrzekł w końcu nieśmiało – ale ostrzegam, że to nie będzie historia ze szczęśliwym zakończeniem. – Adam pobladł, a jego oczy posmutniały jeszcze bardziej. – Od czego zacząć panie doktorze?

Odwrócił się w stronę doktora Jeżyka. Na powrót przybrał nieobecny wyraz twarzy, jak wtedy, gdy obserwował ostatnie promienie słońca, wpadające przez zszarzałe okna budynku. Teraz słońce zaszło już na dobre, a pomieszczenie oświetlało jedynie kilka wysłużonych jarzeniówek dając niemiły efekt półmroku.

— Od początku Adaś. Najlepiej od początku. – Powiedział doktor Jeżyk.

## ROZDZIAŁ 2

# ADAŚ

Mama, zawsze mówiła do niego *Adeczku*. Siostra – *Adam-spadam* i zatrząskiwiała mu drzwi przed nosem, kiedy się kłócili. Na podwórku, był Zajac. Wychowawca w technikum, zwracał się do niego *panie Adamie*, udając, że podczas lekcji ma do czynienia z młodymi, ale dojrzałymi ludźmi. Babcia, przez płot krzyczała *Adaś kochanie*, kiedy potrzebowała, żeby pomógł odcedzić ziemniaki przed obiadem. Może dlatego, zawsze łagodniał i czuł się bezpieczniej, kiedy ktoś, nawet nieznany mówił mu *Adaś*? Z kolei ojciec, za dużo nie wołał za Adamem, bo zwykle był pijany i potrafił wybelkotać jedynie coś, co zaczynało się na literę A, ale kończyło się czymś innym, jak „ty mała kurowo”. Jednakże ogólnie dzieciństwo miał nawet szczęśliwe.

Wysoki. Szczupły. Wiecznie ubrany w wytarte za krótkie džinsy i flanelowe koszule w stylu country. Na tyle wysoki, że żarówkę w lampie sufitowej wymienia nie wchodząc na stołek, a prawie wszyscy nowo poznani ludzie, witają się z nim mniej więcej w taki sposób:

— *Cześć. Wow, ale jesteś wysoki! Trenujesz kosza, czy coś?; albo – Hej, co tam słyhać na górze? Dobrze mnie widać?*

Pytając, patrzyli do góry, jakby głowa Adama, miała znajdować się już w stratosferze, a nie jakieś dwadzieścia centymetrów ponad normą przeciętnego wzrostu. Adaś oczywiście bardzo tego nie lubił (jak każdy wysoki człowiek), ale tak z reguły zachowywały się osoby niskie, jak święty pień drzewa i komentowanie ich wzrostu, było ponoć nietaktowne.

Był jednak na tyle niski, że kariera koszykarza go ominęła. Po prostu wysoki, szczupły chłopak o niebieskich oczach i bujnej blond czuprynie.

Adam Zajączkowski, w marcu skończył trzydzieści dwa lata. Jeszcze do niedawna pracował w jednej z korporacji zajmujących się szeroko pojętą księgowością. Oddział firmy zlokalizowany w Łodzi, nie był jego przypadkowym wyborem. Do „miasta Łodzi”, ujmując folklorystycznie poprawnie, przyjechał z niedużej miejscowości zaraz po maturze, w celu zdobycia wykształcenia właśnie z zakresu rachunków i księgowości. Młody, pracowity, obiecujący. Zawsze dobrze się uczył. Takich chłopaków, dziewczyny zazwyczaj określają mianem trochę nudnych, ale bezpiecznych opcji na życiowych partnerów. Nie dostarczają może zbyt dużego dreszczu emocji, ale ostatecznie zapewniają bezpieczeństwo i stabilizację rodzinnego ogniska. Adam, pochodził z niezbyt zamożnej rodziny, co wymuszało na nim zaradność finansową nie tylko w okresie dorosłości od kiedy zamieszkał sam, ale ogólnie w życiu. Jeszcze mieszkając z rodzicami, pracował dorywczo podczas zbiorów w pobliskich gospodarstwach i pomagał w corocznych dożynkach. Ogólnie znany był z sumienności i uczciwej pracy. Ot, taki może trochę nudny, ale dobry chłopak. Najprawdopodobniej, to najlepszy opis Adama i dłuższy nie jest konieczny.

Rodzice, żegnali wyjeżdżającego na studia syna ze łzami w oczach, ale i dumą w sercach. Znaczący, Adam tak to zapamiętał w swoich wspomnieniach, bo w rzeczywistości, to żegnały go matka z babcią, ponieważ ojciec w tamtym momencie, nie mieszkał już z rodziną i prawdopodobnie, był martwy.

## ROZDZIAŁ 3

# AMERYKAŃSKI SEN

Tak naprawdę cała historia, którą przyjechali usłyszeć Chudy wraz z Konarskim, zaczęła się dużo wcześniej. Mniej więcej dwa lata przed wyjazdem Adama do Stanów Zjednoczonych. Tak, do Stanów Zjednoczonych.

Ale od początku. Marek z Ulą, rzucili pracę i wyjechali ziścić swój amerykański sen o cudownym życiu. To był drugi raz, ponieważ pierwszy, miał miejsce w czasach studenckich, tylko w wersji mini, bo w ramach programu Work and Travel. Tym razem zdecydowali się na bilet w jedną stronę.

Marek, przed wyjazdem pracował jako mechanik w jednym z łódzkich zakładów fabrycznych. Wysoki, szczupły – nawet trochę zbyt szczupły. Wiecznie narzekał na swoją pracę. Wprawdzie za oceanem miał wykonywać dokładnie ten sam zawód, ale za dolary. Ta perspektywa miała sprawić, że narzekać będzie zdecydowanie mniej.

Ula z kolei studiowała anglistykę, czyli i tak nie miała zawodu, który dawałby jej szanse na samodzielne utrzymanie. Krótkie, ciemne włosy, zawsze zaczesane za uszy. Raczej zaliczała się do tych niskich i z niewielką nadwagą, ale uroczych. Niestety poza biegłą znajomością języka angielskiego, żadnych innych specjalnych umiejętności nie posiadała. Biorąc pod

uwagę, że wachlarz jej zawodowych możliwości nie był zbyt szeroki, uznała, że w Ameryce będzie mogła robić nic, a zarazem wszystko. I że tam, ze znajomością języka, uda jej się wieść lepsze życie, niż tu, w kochanej Polsce. A dokładniej Łodzi.

Tak więc, Marek odszedł z pracy. Ula, nie musiała znikąd odchodzić, ponieważ od ośmiu miesięcy, była zarejestrowana jako bezrobotna w Urzędzie Pracy. Wystarczyło jedynie dać znać, że wyjeżdża, aby na próżno nie wysyłano jej kolejnych intratnych ofert pracy z branży logistycznej i gastronomicznej, do których i tak się nie łąpała. Właśnie przez brak doświadczenia.

Wsiedli do samolotu na Okęciu. Wylądowali kilkanaście godzin później na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku, zaczynając tym samym nowy etap w ich życiu. Później, Adam spotykał ich w Łodzi, przy okazji różnych świąt lub innej sposobności dobrej do przylotu z Ameryki i odwiedzenia znajomych. Opowiadali, jak im się wiedzie na obczyźnie. Wymieniając liczne rewelacje zawodowe i towarzyskie, zachęcali do wyjazdu, reklamując swoją decyzję jako najlepszą w życiu.

Uskrzydłony ich sukcesami Adam, czasem rozmyślał, jakby to było zostawić wszystko za sobą i ruszyć w nieznane. W taki sposób zasiali w nim ziarno. Ziarno, które nieświadomie pielęgowali, publikując kolorowe zdjęcia na portalach społecznościowych, ukazując, jak wspaniale jest być tam, gdzie akurat byli.

Ziarno kielkowało, powodując dalsze rozważania na temat wyboru drogi życiowej w postaci podróży za ocean. I pewnie kielkowałyby w nieskończoność, poddając się powolnej metamorfozie w niespełnione marzenie, gdyby nie jeden dzień, który odmienił sposób patrzenia Adama Zajączkowskiego na temat przyszłości, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Dobrze. Może nie różdżki, a bezpośredniego przełożonego. I może nie za dotknięciem, a zwolnieniem z pracy. Było to dla niego coś wyjątkowo nagłego i niespodziewanego. A co za tym szło, w jakimś sensie szokującego.

Pracował tam od ukończenia studiów i przez cały ten czas, nie przyszło mu do głowy, że mógłby zmienić miejsce pracy. Adam należał do osób, które prędzej zwariują, niż samodzielnie zmienią coś w swoim życiu. Tacy ludzie, nie podejmują ryzyka. Nie lubią zmian. Cenią stabilność i marazm. Prędzej zniosą przemoc domową, niż samotność.

No właśnie. Jeszcze gorzej zniósł wiadomość od Lilki – jego ówczesnej dziewczyny. Właściwie to byłej dziewczyny. Bo w dniu wręczenia wypowiedzenia, otrzymał od niej wyczerpującą wiadomość z listą powodów, dla których nie mogą być nadal razem. Był z nią od czasów studenckich. W zasadzie od wyjazdu z rodzinnej wsi. Lilianna Mikołajewska, również pochodziła z małej miejscowości. I był przekonany, że dzięki temu pasują do siebie idealnie. I jeszcze bardziej, niż zmiany pracy, nie wyobrażał sobie, że może kiedykolwiek nadejść moment, iż Lilianny nie będzie obok niego. Nie chodzi o to, że tak bardzo ją kochał. Sam nie wiedział do końca, co to za uczucie. Po prostu przyzwyczyił się do tego, że są razem. To nie strata dziewczyny go przerażała, ale zmiana sama w sobie i perspektywa samotności. Coś czego bał się najbardziej. Ich relacja, choć letnia i bezbarwna, dawała mu złudne poczucie stabilności i pożądanej przez niego niezdrowej stagnacji. Zmiany z kolei, brzmiały, jak wyrok śmierci.

Po południu wrócił do mieszkania. Nie był pewien czy to wszystko wydarzyło się naprawdę. Jego świat, właśnie się zawalał. A przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Dziewczyna zostawiła go dla kolegi z pracy. Adam, wspomnianej pracy już nie miał. Czy mogło zdarzyć się coś jeszcze gorszego? Czuł, jak zapada się w sobie. Jak jego dusza, rozsypuje się na kawałeczki. Oddychał szybciej i szybciej. Lęk, napędzany strachem przed samotnością, powodował płytki oddech. Próbował coraz szybciej łapać powietrze. Tak zamykało się błędne koło.

Nie mógł złapać tchu, a skołatany umysł, podsyłał mu same czarne myśli:  
— *Z czego teraz będę się utrzymywał? Czy poznam kogoś jeszcze? A jeżeli*



*poznam, to czy będzie chciała ze mną być i znosić moje dziwactwa? Czy umrę sam?*

Bez przerwy zadawał sobie pytania, na które nie znał odpowiedzi, a obrazy w jego głowie, wirowały coraz szybciej. Z każdą sekundą, miał coraz więcej ciemnych plam przed oczami. Mężczyzna poczuł, że w ataku hysterii traci przytomność. To był koniec. Ostatkiem sił, wziął telefon do ręki i wykręcił numer pogotowia.

— Co jeszcze się wydarzy? – Pytał sam siebie.

Bezwładnie opadł na łóżko tracąc przytomność.

— Dyspozytor pogotowia w Łodzi, w czym mogę pomóc? – Odezwał się głos w słuchawce.

\* \* \*

Wieczorem Adam odzyskał przytomność. Powoli usiadł na łóżku. Dotarło do niego, że dużo zmieniło się w przeciągu ostatnich kilkunastu godzin. Spojrzał na wyświetlacz swojego telefonu. Na otwartej liście połączeń wychodzących widniał numer alarmowy pogotowia. Potrzebował chwili, żeby przypomnieć sobie, że w akcie paniki, rzeczywiście dzwonił po karetkę. Kliknął w szczegóły.

— Ciekawe. – Zastanawiał się, patrząc na wyświetlacz komórki.

*Połączenie z dnia 23 stycznia 2020 roku, wykonane o godzinie trzynastej czterdzieści jeden, trwało dwanaście minut i czterdzieści sześć sekund.*

— Prawie trzynaście minut? – Powiedział, zdziwionym głosem. – O czym mielibyśmy rozmawiać tyle czasu?

Próbował zebrać myśli. Fakt, że połączenie tyle trwało, nie dawało mu spokoju. W końcu skołowany musiał odpuścić. Teraz nie miał do tego siły.

— Jakoś się wszystko ułoży Adaś. – Powtarzał w swojej głowie, jakby chciał sam siebie pocieszyć.

Chandra męczyła go kilka dni. Potem bez wyraźnych powodów zobojeźniał. Huśtawki nastrojów sprawiała, że w zależności od pory dnia, czuł się

wolny lub przybity. Nikt do niego nie dzwonił. Nikt nie pisał wiadomości. Jakby nie miał żadnych znajomych. Ku jego zdziwieniu, jednak niecodzienne, nieznanie mu wcześniej poczucie wolności, zaczęło dominować nad zalem do świata i tego, co go spotkało. Nie potrafił tego wytłumaczyć. Oczywiście, wcześniej obwiniał wszystkich dookoła. On sam w swoich oczach, był jedynie niewinną ofiarą każdej swojej porażki.

Zaczął myśleć o Marku i Uli. A dokładniej o ich deklaracji przyjęcia go pod swoje skrzydła, jeżeli zdecydowałyby się na przeprowadzkę do Stanów. Chwilę się zawahał.

— A co ja mam tu lepszego do roboty? – Burknął płaczącym głosem, spoglądając za okno.

Włączył komputer. Chwilę trwało, zanim w wyszukiwarce lotów pojawiła się lista wyników.

Najbliższy samolot odlatujący z Warszawy do Nowego Jorku startuje za dwa tygodnie.

Zawiesił się na moment.

— Nie, nie – pomyślał, że to stanowczo za długo. – Do tego czasu z całą pewnością stchórzę i wcale nie polecę – powiedział, zrezygnowany na głos.

Lekko rozbawił sam siebie, tym tak bardzo prawdziwym stwierdzeniem. Równocześnie pisał na Messengerze z Markiem. Trzy kropeczki komunikatora, rytmicznie falowały na wyświetlaczu telefonu.

*Hej, nie ma nas już w Nowym Jorku, dawaj do Los Angeles.* – odpisał Marek, dodając na końcu wiadomości emotikon z mrugającym okiem.

Adam, nie poddawał się. Zmienił miejsce docelowe na lotnisko w Los Angeles. Wyszukiwarka ponownie analizowała dane. Tym razem trochę dłużej niż poprzednio. Pasek ładowania ekranu w ślimaczym tempie, dojechał do końca i ciach! Pokazały się wyniki.

— Kurwa. – Adam, warknął zawiedziony. Najbliższy termin lotu był za trzy tygodnie. – Od momentu zniesienia wiz, Polacy wyjeżdżają do Stanów

Zjednoczonych, jak do Ziemi Obiecanej. – Pomyślał, zerkając w stronę telefonu. Ekran był zgaszony. Marek nic już nie odpisał.

Sprawdził w innej wyszukiwarce. Wyniki prawie te same. Kolejna. Prawie identycznie. Tyle razy wpisał w Google frazę „tanie loty do Kalifornii”, że podłączyło mu automatyczne alerty.

— Fajnie. Teraz nie dosyć, że nie lecę, to jeszcze na każdym kroku, będą mnie nękały reklamy linii lotniczych, przypominając subtelnie, jaką jestem pizdą i jak nie umiem sobie ogarnąć życia. – Wściekły, zamknął laptopa i odsunął go od siebie.

Zajrzał do pustej lodówki. Przerzucił wszystkie kanały w telewizji. Znużony i rozdrażniony, patrzył dłuższą chwilę w ścianę siedząc na starej, wytartej wersalce.

Skrupulatnie użalał się nad sobą od około godziny, kiedy zobaczył na zablokowanym ekranie telefonu komunikat z jednej ze stron, oferujących sprzedaż biletów lotniczych.

— No ja pierdołę, teraz już nie dadzą mi spokoju. – Zrezygnowany stuknął palcem w wyświetlacz.

Pojawił się kolorowy baner:

LOTY: BERLIN – LOS ANGELES OD OSIEMIUSET DZIEWIĘĆ-DZIESIĘCIU DZIEWIĘCIU ZŁOTYCH.

Beznamiętnie, jakby od niechcienia kliknął w kolorowe pole.

Najbliższa data wylotu za trzy dni. Sprawdził dalej ofertę – krótki opis. Następnie wybrał miejsce w samolocie, które chciałby zająć. Odrzucił opcje dodatkowych ubezpieczeń. Jednym kliknięciem zaznaczył bagaż do nadania. Kupował bilet lotniczy pierwszy raz w życiu i nie miał w tym doświadczenia. Czy na prawdę dokonuje zakupu, czy jednak zaraz zobaczy komunikat świadczący o braku miejsc w samolocie? Niepewność związana z obawą, obudziła w nim podekscytowanie i nie chciał z niego rezygnować. Uzupełnił dane osoby podróżnej. Na końcu pokazało się podsumowanie i ko-

munikat: *Wybierz formę płatności*. Wprowadził dane karty. Dwie minuty później, w skrzynce mailowej Adama, pojawiły się potwierdzenie zakupu oraz instrukcja odprawy.

— O cholera! – Z podekscytowania lekko się wzdrygnął. Przeszedł go dreszcz. — Lecę do Los Angeles. – Pomyślał i uśmiechnął się pod nosem.

Nagle poczuł się lżejszy i mniej zagubiony. Za oknem zaczął padać deszcz.